BIAŁY
TEATR
PANNY
NEHEMIAS

BIAŁY TEATR PANNY NEHEMIAS

ZUZANNA ORLIŃSKA

LITERATURA

Zuzanna Orlińska
Biały Teatr panny Nehemias

© by Zuzanna Orlińska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Sylwia Szyrszeń

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska,
Aleksandra Różanek

Wydanie II, Łódź 2022
ISBN 978-83-8208-092-6

Wydawnictwo Literatura

91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

„Zamknięty w skorupce orzecha,
jeszcze czułbym się władcą nieskończonych przestrzeni
– gdyby mnie tylko nie dręczyły złe sny”

William Shakespeare *Hamlet*

I

Niebo zwiesza się coraz niżej, pełnym, granatowym brzuchem niemal ocierając się o dachy domów. Na dwóch okrągłych basztach, pomiędzy którymi rozpięto czerwony neon z napisem „Czytajcie Sztandar Młodych", opiera się ciężka chmura. Lodowaty wiatr przywiał skądś szczątki gazety i pastwi się nad nimi, to podrywając je w górę, to znów rzucając z furią na ziemię. Katarzynę tak zajęła obserwacja tego powietrznego baletu, że zatrzymuje się mimo woli, a wtedy gwałtowny podmuch ciska gazetę do jej stóp. Dziewczyna pochyla się, żeby ją podnieść. Dostrzega tytuł „Żołnierz Wolności", datę 4 kwietnia 1984 i z obrzydzeniem wyrzuca sztywny papier do stojącego koło przystanku tramwajowego kosza na śmieci. Mocniej ściska w dłoni uchwyt siatki z zakupami. Skręca za róg i staje oko w oko z druhną Martą.

Marta, dowodząca szkolną drużyną harcerską, dziarska, konkretna i pogodna, jest właśnie tą osobą, której Katarzyna najbardziej nie chciałaby teraz spotkać.

– O, cześć, Kaśka! – woła.

– Cześć – odpowiada Katarzyna, unikając spoglądania w oczy drużynowej.

Zaraz będzie miała do mnie jakąś sprawę – myśli z rozpaczą.

– Dobrze, że cię widzę, bo mam do ciebie sprawę!

– Tak? – burczy Katarzyna. Zimny wiatr dmucha jej prosto w twarz. Czuje, że jeśli dłużej tu postoi, odpadnie jej nos. Ale harcerka zdaje się nie zwracać uwagi na drobne uciążliwości klimatyczne.

– Dawno nie byłaś na zbiórce, co? – mówi, łapiąc Katarzynę za rękę, jakby bała się, że wiotka postać za chwilę uleci z wiatrem. – Rozmawiałam o tobie z panią Piotrowską i dostałam zadanie, żeby cię bardziej zaktywizować.

– Co ze mną zrobić? – nie rozumie Katarzyna. Wiatr nagle zmienił kierunek i teraz szarpie ją za włosy. Z budynku straży pożarnej wyjeżdża czerwony samochód na sygnale.

– Nie angażujesz się! – druhna Marta próbuje przekrzyczeć wichurę. – Powinnaś się zaangażować! Cała klasa się angażuje, tylko ty nie! Pani dyrektor prosiła, żebym znalazła ci jakieś zajęcie!

– Przecież ja mam dużo zajęć – mówi Katarzyna, ale druhna już tego nie słyszy, bo wiatr chwycił ją za kurtkę i kazał przejść na drugą stronę ulicy.

– Złapię cię w szkole! – woła jeszcze.

Katarzyna odgarnia włosy z twarzy i, walcząc z wiatrem, idzie w stronę domu.

* * *

Klatka schodowa pachnie kapustą. Winda znów się zepsuła, trzeba iść po schodach. Na pierwszym piętrze, przez uchylone drzwi jednego z mieszkań, bucha kapuściany odór. Dobiega

stamtąd także piskliwy głos pani Kluczy, krzyczącej na męża – pana Klucza. Jego pomruki dają się słyszeć gdzieś w tle. Katarzyna nie wie, jak naprawdę nazywają się sąsiedzi z pierwszego piętra. U niej w domu od zawsze mówi się: pan Klucz i pani Klucza, zapewne dlatego, że jedyne słowa, jakie się od nich słyszy, to „Daj pani klucza od strychu", kiedy stają w progu mieszkania Katarzyny z miednicą pełną upranej bielizny.

Mama jest już w domu.

– Zabrakło bułek? – pyta, biorąc od Katarzyny siatkę z zakupami.

– Jak zwykle o tej porze.

Wchodząc do kuchni, Katarzyna machinalnie wyłącza tranzystorowe radyjko stojące na kredensie. Drażni ją monotonny głos spikerki podający dane dotyczące wytopu surówki.

– Trudno. Usmażę placki ziemniaczane. Umyj ręce – poleca mama. – Naleję ci zupy i siadam do roboty, bo muszę skończyć ten tekst do jutra.

* * *

Katarzyna je zupę, poruszając łyżką w rytm stukania klawiszy maszyny do pisania, dobiegającego z pokoju rodziców. Potem myje talerz i idzie do siebie.

Jej pokój, bardzo malutki, był kiedyś spiżarką albo służbówką. Mieści się w nim tylko tapczan, nieduże biurko i półka z książkami. Ścianę na wprost wejścia wypełnia okno, a za nim właśnie zaczyna kropić pierwszy wiosenny deszcz. Katarzyna myśli z niechęcią, że trzeba odrobić lekcje, otwiera szufladę biurka i wyjmuje z niej zeszyt od chemii. Lecz sam widok sześćdziesięciokartkowego brulionu w burej okładce z podobizną Kazimierza Pułaskiego wzbudza w niej odrazę. Nie żeby

miała coś przeciwko Pułaskiemu, tylko jakoś nie może na niego patrzeć. Odwraca zeszyt Pułaskim do dołu, ale to nie pomaga. Tylna okładka poucza Katarzynę srogo, że zbiórka makulatury przez młodzież szkolną to oszczędność lasów i lepsze zaopatrzenie przemysłu w surowiec.

– Dajcie mi święty spokój! – mówi głośno, zwracając się z tym apelem do wszystkich dzisiejszych prześladowców: aktywnej druhny Marty, pani Piotrowskiej, która zadała pracę domową z chemii, do tych, co żądają, by zbierała makulaturę i pomagała zaopatrywać przemysł w surowiec, a nawet do Kazimierza Pułaskiego, którego jedyną winą jest to, że pozwolił się nadrukować na ten paskudny zeszyt.

Bierze z półki książkę, otwiera w miejscu, gdzie wsunięta została zakładka, i zapomina o całym świecie.

* * *

Stoły w pracowni chemicznej pokryte są śliskim laminatem. Cienkie miedziane rurki doprowadzają gaz do zaworków, co umożliwia podłączenie palników i przeprowadzanie doświadczeń. Czasami doświadczenie się nie udaje lub udaje się za bardzo – wtedy na blacie pozostaje brunatny ślad przypalenia. Ze ścian spoglądają naburmuszone twarze sławnych uczonych. Dmitrij Mendelejew, Maria Skłodowska-Curie, Zygmunt Wróblewski – brzydcy, poważni, o stężałych rysach. Tylko Michael Faraday, ostatni przy oknie, wydaje się dosyć przystojny, młody, nawet troszkę uśmiechnięty, a może to nieoczekiwanie padło na niego słońce, które z trudem wdziera się do wnętrza przez brudne, pokryte szarymi smugami szyby.

Pani Piotrowska skończyła sprawdzać zadania i przechodzi do spraw wychowawczych. Rozdaje dzienniczki z podpisanym

przez siebie zawiadomieniem o zebraniu rodziców, zagląda do notesu, w końcu zdejmuje okulary i mówi:

– Jak wiecie, nasza szkoła nosi imię…

– Dąbrowszczaków! – wyrywa się z pierwszej ławki prymuska Wika.

– Tak jest, Dąbrowszczaków. Dziękuję ci, Wiktorio. – Wychowawczyni jest niezadowolona, że jej przerwano. – Dąbrowszczaków, czyli żołnierzy Międzynarodowej Brygady imienia Jarosława Dąbrowskiego, walczących o wolność Hiszpanii w latach 1936–1939. Wiele razy opowiadałam wam już o udziale naszych rodaków w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie Hiszpanii. Pewnie nie wiecie jednak, że wielu Hiszpanów, zwolenników republiki, opuściło swoją ojczyznę po zakończeniu wojny domowej, pod koniec lat trzydziestych. Zostali zmuszeni do życia na emigracji, początkowo przeważnie w sąsiedniej Francji, z czasem, gdy rząd francuski nawiązał stosunki z dyktatorem Franco, postanowili szukać sobie miejsca w przyjaznych im krajach demokracji ludowej. Polska przyjęła sporą grupę tych uchodźców, zapewniając im godziwe warunki życia. I otóż niedawno do dyrekcji szkoły dotarła wiadomość, że w naszej okolicy mieszka rodzina weterana hiszpańskiej wojny domowej, a dokładnie wdowa po nim i jej córka. Są to już starsze schorowane panie, więc dyrekcja i grono pedagogiczne naszej szkoły podjęły się opieki nad nimi. W tym semestrze zaszczyt pomagania im przypadł naszej klasie, VIb. Po konsultacjach z innymi nauczycielami, przedstawicielami samorządu i organizacji harcerskiej, pozwoliłam sobie wyznaczyć dwie osoby spośród was, które będą miały za zadanie odwiedzać tę rodzinę, pomagać w prostych pracach domowych, przynosić obiad ze szkolnej stołówki, a od czasu do czasu robić zakupy. Po paru tygodniach obowiązki te przejmie kolejna wyznaczona para dyżurnych i tak do końca semestru.